

965

Znamy ją ze sceny Starego Teatru w Krakowie, z filmów z telewizji. Mówi się o niej, że jest jedną z najzdolniejszych najbardziej obiecujących aktorek najmłodszego pokolenia. Czy jednak tylko opinie fachowców i recenzje sprawiają, że tak dobrze pamiętamy ANNĘ DYMNA? Jest coś urzekającego w jej drobnej, delikatnej twarzy w spojrzeniu trochę skośnych oczu. Ale to nie tylko uroda. To coś, co zwykle się nazywa osobowością, co sprawia, że raz ujrawszy aktora, mamy ochotę zobaczyć go znowu, że pełni zaciekania czekamy co ma nam poprzez swoją sztukę do powiedzenia. W Krakowie, rodzinnym mieście aktorki, w kręgu znajomych, przyjaciół, kolegów mówi się o niej po prostu Ania. Anna brzmi zbyt hieratycznie. Ania nie kojarzy się nikomu z utartym stereotypem znanej aktorki: ani śladu szminki na twarzy, ani śladu manier „gwiazdy” i pewności siebie, jaką dają sukcesy.

– Zdarzyło się tak, że nie najciekawsza chyba rola w filmie „Nie ma mocnych” i w dalszych częściach tej trylogii przyniosła mi tak zwaną szeroką popularność. Ludzie, widząc mnie na ulicy, zatrzymywali się i zastanawiali głośno: „Czy to ta, co grała w filmie? Eee, chyba nie” – uśmiecha się Ania Dymna. Nie lubi mówić o sobie.

# Anna Dymna



Zdjęcia: CAF



**Z**aczęło się wszystko bardzo dawno i zupełnie przypadkowo. W tym samym, co rodzice Ani domu mieszkał znany, niezujący już dziś aktor, Jan Niwiński, człowiek o naturze społecznika i talentach pedagoga. Postanowił z miejscowej dzieciarni stworzyć – zespół teatralny. Niechże, zamiast nudzić się i waleśać po podwórku, bawią się w teatr! Rzecz udała się niespodzianie, dziecięcemu zespołowi udzielił poparcia i gościny Klub Łącznościowca.

– Grywaliśmy wtedy i bajki, i Szekspira, i Goldoniego – wspomina Anna Dymna – ale ważniejsze od przedstawień były chyba wieczory spędzane u pana Niwińskiego, który opowiadał o teatrze, czytał z nami sztuki, przygotowywał role.

Ania była ulubienicą Niwińskiego, doświadczonym okiem zobaczył w niej materiał na aktorkę z prawdziwego zdarzenia. Ale ona nie marzyła wcale o teatrze, dziecięcy zespół traktowała jako zabawę, a myśl o tym, że miałaby stanąć na prawdziwej scenie, przejmowała ją paniką. – Umarłabym chyba ze wstydu – mówiła i zaraz po maturze złożyła papiery na uniwersytet, na psychologię. Dowiedział się o tym pan Niwiński i bardzo się różgniewał. – Musisz zdawać do szkoły teatralnej – zdecydował, i Ania uległa presji starszego pana. Poszła na egzaminy – i zdała. Ogarnęło ją wówczas przerażenie. Całe życie w teatrze? Nie, tego nie potrafiła sobie ogóle wyobrazić.

Studia w krakowskiej PWST okazały się bardzo nietypowe. Już na pierwszym roku wystąpiła na prawdziwej scenie, zaangażowana przez Lidę Zamkow do jej inscenizacji „Wesela”. Młodziutka studentka zagrała tam podwójną rolę: Isi i Chochola – i zagrała bardzo dobrze.

Odtąd już przez całe prawie studia dzieliła się pomiędzy szkołę i teatr. Jest to rzecz rzadka i wyjątkowa, w przypadku Dymnej okazała się niezwykle szczęśliwa. Dla młodych ludzi, wychowanych w klimacie szkoły, przejście do normalnej pracy w teatrze bywa trudnym do przezwyciężenia szokiem. Dla Ani granica pomiędzy szkołą a teatrem zatarła się, grywała u boku swych pedagogów, traktując to jako dalszy ciąg nauki. Weszła w świat teatru szybko, bezkolizyjnie, jakoś niepostrzeżenie dla siebie samej.

Bardzo szybko „odkrył” ją film. To była sprawa zupełnie dla niej nowa, młodziutka dziewczyna poruszała się po planie filmowym trochę po omacku, niepewna, onieśmielona obecnością nieznanych sobie „gwiazd”. Stawała, kiedy kazano jej stanąć, siadała, kiedy kazano jej usiąść. Nie, nie dawało jej to żadnej satysfakcji.

Pod koniec drugiego roku studiów zagrała w „Królu mięsopuście” w Starym Teatrze. Od tej chwili była już pewna, że chce zostać w teatrze. I to w tym właśnie znakomitym Starym Teatrze w Krakowie.

Potem, wciąż jeszcze będąc studentką, zdecydowała się na udział w następnym filmie, reżyserowanym przez Henryka Klubę według scenariusza Wiesława Dymnego. Film nigdy nie wszedł na ekrany, Ania straciła rok – i zyskała męża. Wyszła za męża za Wiesława Dymnego, niezwykle utalentowanego plastyka, pisarza, poetę, jednego z twórców słynnej „Piwnicy pod Baranami”.

Potem były dalsze filmy, serial o Janosiku, film kręcony przez NRD-owską DEFE. Na III roku studiów młoda aktorka – już znana, choć jeszcze bez dyplomu – zagrała w telewizyjnej wersji „Wesela”, poznając i ten zupełnie odrębny rodzaj pracy.

– W tym samym okresie zagrałam w filmie „Jak

daleko stąd, jak blisko”. To właśnie wtedy, w ciągu jednego dnia zdjęciowego, kiedy grałam w scenie z Łapickim, poczułam nagle prawdziwą radość z grania. To mnie wreszcie pogodziło z filmem. I pozwoliło zrozumieć, że nie jest ważne, czy gra się dużą, czy małą rolę, najważniejsze są właśnie te momenty, kiedy czuje się radość z grania – mówi Anna Dymna.

Ukończyła szkołę teatralną, otrzymała dyplom i wtedy jak sama mówi – spotkało ją prawdziwe szczęście. Została już na stałe zaangażowana do Starego Teatru.

Zagrała dwie role – Kory i Małgorzaty – w słynnej inscenizacji „Nocy Listopadowej”, reżyserowanej przez Andrzeja Wajdę, potem Zosię w „Dziadach”, w zapisanym na zawsze w historii polskiego teatru przedstawieniu Konrada Swinarskiego.

To niewielka rola – pięć minut na scenie. Ale Anna Dymna uważa ją za przełomową w swym aktorskim życiorysie. Jak wszyscy, którzy zetknęli się ze Swinarskim, tragicznie zmarłym wielkim reżyserem, znalazła się w kręgu jego magicznego wręcz oddziaływania. Swinarski w jakiś niezwykły sposób poszerzał możliwości aktora, darząc go przy tym zaufaniem, dając mu wiarę w siebie. – Potrafiłam wtedy robić rzeczy, co do których sama nie wierzyłam, że je zrobić potrafię – wspomina Dymna.

I znowu uśmiech losu: Konrad Swinarski zaproponował młodziutkiej Ani rolę, o której marzą wszystkie chyba aktorki na świecie: rolę Ofelii w „Hamlecie”. Wspaniała szansa – brutalnie przekreślona przez tragiczny przypadek. Próby były dopiero w stadium początkowym, kiedy w katastrofie lotniczej zginął Swinarski. Nie było i nigdy już nie będzie premiery jego „Hamleta”.

Życie musiało jednak toczyć się dalej, zwykłym trybem. Dymna grała inne role, była znakomitą Anią w „Wiśniowym sadzie” Czechowa w reżyserii Jarockiego, czekały na nią dalsze filmy. Wszystko układało się dobrze. Oprócz teatru był dom. Trochę niezwykły dom, mieszkanie, do którego Ania wspólnie z mężem własnymi siłami zrobili meble, gdzie po powrocie z teatru lubiła siadać z jakąś robótką lub gotować, rysować. Ania Dymna ma uzdolnienia, które rozwijał u niej mąż – plastyk przecież. Kocha malarstwo, impresjonistów i kolorystów, Boscha i Bruegla. Nawet marginesy egzemplarza sztuki pokrywa w czasie prób małymi, dziwnymi rysunkami. Był więc dom – gniazdo, z ulubioną kotką, która wciąż miała nowe kocięta, z ulubionymi obrazami, dom, do którego dobrze było wracać z teatru. Któregoś dnia dom przestał istnieć. Pożar pochłonął całe mieszkanie. Krótko potem umarł nagle Wiesław Dymny. Świat zawałał się.

Anna Dymna nie ma do dziś własnego domu. Pozostała jej praca. W ubiegłym roku Miklos Jancso, wspaniały reżyser węgierski, zaproponował Dymnej rolę w swym nowym filmie, znakomitą rolę, taką, o której marzyć można całe życie. Nakręcono zaledwie cząstkę zdjęć, gdy w drodze do Budapesztu zdarzyła się katastrofa samochodowa. Aktorka wyszła z niej z pękniętym płucem, uszkodzonym kręgosłupem. Prawie cały rok przeleżała w szpitalach. Gdy czuła się lepiej, pomiędzy jednym pobytem w szpitalu a drugim, kończyła pracę w filmie Hoffmana „Do krwi ostatniej”. Czeką ją jeszcze dalsza, długa kuracja. Ale gra i próbuje rolę w czechowowskiej „Czajce”.

Anna Dymna siedzi naprzeciw mnie w starej krakowskiej kawiarni na Ryńku. Mówi tak:

– Dopiero teraz wiem, czym jest dla mnie teatr. To jedyne miejsce, gdzie jestem szczęśliwa. Nie tylko dlatego, że otaczają mnie tam przyjaciele. Ale także dlatego, że aktorstwo jest zawodem, który pozwala przebywać wciąż w jakimś innym świecie. Ludzie chodzą do teatru, aby wejść choć na dwie godziny w ten wymyślony świat. A ja wchodzę weń codziennie, opuszczając rzeczywistość.

Cudowną sprawą są dla mnie także próby, praca z reżyserem. Ostateczny kształt sztuki rodzi się w atmosferze napięcia, niedomówień, nieustannego przenikania tajemnicy, jaką jest każda rola. Kocham mój zawód, bo całe życie pracuje się tu nad czymś nowym, wciąż trzeba na nowo poznawać osoby, w które wcielamy się, trzeba poznawać samego siebie. Każde przedstawienie jest nowym przeżyciem, co dzień zaczyna się gra – ale nigdy nie jest ona tym samym. Czego trzeba, aby być dobrym aktorem? Wydaje mi się, że trzeba wiedzieć dużo, być trochę psychologiem, trochę filozofem, trochę historykiem sztuki. Być człowiekiem otwartym na świat. Ale przede wszystkim – aby być dobrym aktorem, trzeba być człowiekiem uczciwym.

Anna Dymna uśmiecha się swoim nieśmiałym trochę dziecięcym uśmiechem. Mądra, wrażliwa, urocza i dzielna – mówią o niej przyjaciele. To prawda.